

Polak-katolik a powszechne przeznaczenie dóbr

16 marca 2016

Polska to w wielu obszarach kraj paradoksów. Jednym z nich jest deklaratywne przywiązanie dużej części Polaków do katolickich wartości, połączone z życiem zupełnie oderwanym od tychże wartości – i w większości przypadków chodzi o tę samą grupę Polaków. Polacy-katolicy na przykład notorycznie stosują bluźniercze sformułowanie „święte prawo własności” oraz fetyszyzują własność prywatną, choć Kościół katolicki stworzył unikalną i bez mała rewolucyjną zasadę powszechnego przeznaczenia dóbr, która podporządkowuje własność użytkowaniu, a pretensje do niej może rościć sobie każdy, choć oczywiście w określonych przypadkach i z zachowaniem pierwszeństwa właściciela. Polacy-katolicy z ogromnym lekceważeniem podchodzą także do przyrody, choć to właśnie ją stworzył Bóg, natomiast nierzadko wręcz wielbią stworzone przez człowieka wytwory materialne. Ogrzewają więc swoje wypasione chałupy paląc najpewniej oponami (bo chyba tylko one mogą dać taki czarny dym), trując swoje siostry i braci. A na drugi dzień idą grzecznie na Mszę i stoją w ładnym rzędku do Komunii, nie zwracając uwagi na fakt, że dzień wcześniej tak nagrzeszyli, że dla pokuty przez trzy miesiące powinni codziennie klepać różańce. Ewidentnie prawdziwą „dobrą zmianą” w Polsce byłoby odkurzenie stworzonej przez jednego z największych mózgów w historii Kościoła zasady powszechnego przeznaczenia dóbr. Pytanie tylko, czy św. Tomasz z Akwinu jest jeszcze dla współczesnego Polaka-katolika jakimkolwiek autorytetem.

To właściwie nic dziwnego, że w czasach wszechobecnego kultu własności środowisko naturalne traktowane jest w najlepszym wypadku podejrzliwie i z dystansem. W końcu nie da się go całego ogrodzić, postawić tabliczki „moje” i wpuszczać łaskawie tylko znajomych, i to też tylko wtedy, gdy najdzie

nas na to ochota. Nie da się go całego zakupić, otoczyć płotem i postraszyć intruzów złym psem. Można tak najwyżej postąpić z drobnym i najbardziej dostępnym kawałeczkiem, ale przyroda i tak ma te wszystkie zabiegi za nic i przy najbliższej okazji spuści na teren delikwenta hektolitry wody z przemykającej obok chmury, zupełnie o to rzekomego właściciela nie pytając. Wiatr hula po naszych włościach nawet wtedy, gdy sobie tego nie życzymy, ptaki beczelnie wlatują, siadają na ławkach i zostawiają na nich jakieś białe placki, a gdy przychodzi grudzień nawet stojący w garażu nowiutki SUV miewa problem z wyjazdem na naszą własną, starannie wcześniej utwardzoną drogę. W normalnych sytuacjach, gdy ktoś kpi sobie z mojego „świętego prawa własności”, mogę zawsze na niego nakrzyczeć, dać w twarz, ewentualnie zadzwonić po odpowiednie służby. Na przyrodę tymczasem mogę się wydzierać ile wlezie, a ona i tak nic sobie z tego nie robi.

Gdy kupię 10-calowy tablet z modemem 4G, to wiem, że jest mój, mam paragon, mogę się nim pochwalić przed znajomym, a nawet przed nieznajomym siedzącym na fotelu obok w niepolskim busie. Tymczasem gdy kąpię się w rzece, to nie do końca wiem, czyja ona jest. Niby z niej korzystam do woli, przyjemnie mnie schładza, ale obok kąpią się dziesiątki innych, jakieś rozwydrzone bachory drą się wniebogłosey i nie dają spokojnie człowiekowi poczytać książki na materacu, a jakby tego było mało, właśnie nadepnął mnie jakiś grubas i ledwo burknął „sorry”. To jak to jest w końcu z tą rzeką? Jest moja czy ich? A jeśli jest nas wszystkich, to która konkretnie część jest moja? Proszę mi sprawiedliwie wydzielić mój kawałeczek, może być nawet maluteńki, tylko żeby mi nikt na niego nie włąził, a grubas niech sobie depcze innych na swojej części.

Na tym właśnie polega w naszym kraju główny problem nie tylko z naturą, ale i z całą własnością wspólną. Nie da się precyzyjnie ustalić, do kogo ona należy, a w czasach kultu własności prywatnej i jej fetyszyzacji jest to ogromna wada. Po zgrzebnym latach PRL rzuciliśmy się budować naszą prywatną

własność, podobno zawsze dużo lepszą i bardziej efektywną od własności wspólnej, której przecież sama nazwa wskazuje, że jest niczyja. Odwróciliśmy się więc plecami od naszych klatek schodowych, parków czy podwórek, na rzecz nieustannego upiększania własnego mieszkania czy domu. Nieistotne stało się, że do pracy jedziemy drogą wyboistą niczym powierzchnia księżycy – ważne, że w domu mamy telewizor wielki jak pół Orlika. Ten sam los spotkał naturę – nie moja, a więc niczyja, a skoro niczyja, to nic nie szkodzi wyrzucić niedogaszzonego papierosa do lasu, okazjonalnie wysikać się do jeziora czy zostawić butelki po piwie na łące, na której przed chwilą się imprezowało. Najpierw nachapać się do syta, a dopiero potem oddać następnemu w kolejce, gdy sami już i tak nie możemy – to nasza standardowa strategia korzystania z każdej formy własności. I nieważne, czy chodzi o mienie komunalne, czy o zasoby naturalne – byłem pierwszy, jestem panem. Gdzie mi się tu wpychasz, babo – zapłaciłem za bilet, to siedzę. Trzeba było wejść dwa przystanki wcześniej, to ty byś siedziała.

Katolicka zasada powszechnego przeznaczenia dóbr jest traktowana przez przeciętnego Polaka-katolika co najwyżej pobłażliwie, jako jeden z tych licznych nieszkodliwych kościelnych przeżytków, których i tak już nikt nie przestrzega i nikt nie zwraca na nie uwagi. W czasach absolutyzacji własności, wręcz jej sakralizacji („święte prawo własności”), twierdzenie, że własność obciążona jest hipoteką społeczną, aby dobra mogły służyć ogólnemu przeznaczeniu, musi się jawić jako bajanie jakiegoś niepoprawnego idealisty, w gruncie rzeczy niebezpiecznego, bo jeszcze zechce dokwaterować uchodźcę z Syrii do mojego M-3. Współczesny porządek ekonomiczny jest oparty na podziale na to, co moje i co nie moje, a poszczególne dobra może i były kiedyś powszechnie przeznaczone, ale tylko do momentu, gdy je nabyłem. To znaczy, de facto każdy mógł wejść w ich posiadanie, ale po transakcji to już jest inna historia. We współczesnej logice zasada powszechnego przeznaczenia dóbr jest więc podporządkowana własności prywatnej – obowiązuje, dopóki czegoś nie posiadzie

konkretna osoba. Gdy ten kawałek pola jest już Marka czy Ilony, wtedy pieczę nad nim sprawują zasady prawa cywilnego, a nie boskiego. Tymczasem doktryna katolicka odwraca tę logikę: to własność prywatna podporządkowana jest powszechnemu przeznaczeniu dóbr, które powinno być uniwersalnym prawem ich użytkowania, a także pierwszą zasadą całego porządku społecznego.

Fetyszyzacja własności prywatnej powoduje, że z zupełnym lekceważeniem odnosimy się do własności wspólnej. To właśnie z tego powodu obojętnie patrzymy, jak niszczy nasza własność publiczna oraz jak natura bywa przez nas bezlitośnie wykorzystywana. Za obie nie czujemy odpowiedzialności, ponieważ nie stoją u nas na biurku i nie zapłaciliśmy za nie naszą kartą bankową. Tymczasem własność prywatna powinna być tylko instrumentem ułatwiającym korzystanie z dóbr. Instrumentem, który da pewność, że gdy rano będę chciał jechać do pracy, to mój samochód będzie stał na parkingu i grzecznie czekał – nie oznacza to jednak wcale, że mogę z nim robić, co mi się żywnie podoba.

Przypomnienie sobie, że wszelkie dobra w boskim zamierzeniu mają co do zasady służyć wszystkim, może zmienić nasz stosunek do świata – zarówno do tego, co mam w torbie podróźnej, jak i tego, co mijam jadąc pociągiem. Postawienie zasady powszechnego przeznaczenia dóbr nad własnością prywatną wszystkim nam wyjdzie na zdrowie. Zaczniemy korzystać bardziej odpowiedzialnie z mienia własnego oraz publicznego, a także dostrzeżemy, że środowisko naturalne to dobro nie tylko moje, nawet nie tylko moich żyjących współcześnie sióstr i braci, ale wszystkich przeszłych i przyszłych pokoleń. Nasze place wypięknieją, a parki będą czystsze. Nasze usługi publiczne zaczną lepiej działać, a podatnicy będą bardziej sumiennie płacić na ich utrzymanie, zdając sobie sprawę, że czynią to we wspólnym interesie. No i przede wszystkim Polak-katolik będzie lepszym wiernym. Pytanie tylko, czy bycie lepszym wiernym jest jeszcze dla współczesnego Polaka-katolika jakąkolwiek

wartością.

Autorstwo: Piotr Wójcik

Źródło: NowyObywatel.pl